GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1938 R.

Nr. 21 ROK VIII

DEMOGRAFICZNY I PRZEMYSŁOWY BILANS DWUDZIESTOLECIA

WITOLD PACZKOWSKI

APETYT CHŁOPSKI

STEFAN ZAWADZKI

DUŻE I MAŁE

STEFAN MEYER

UWAGI

ODCIĄŻENIE WSI NA ODCINKU UBEZPIECZEŃ

STAWKA NA ZŁOTÓWKĘ

NOTATKI

ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI

ORDYNUS

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 21

1938 R.

15 — XI

WITOLD PACZKOWSKI

DEMOGRAFICZNY I PRZEMYSŁOWY BILANS DWUDZIESTOLECIA

Dwudziestolecia gospodarki polskiej nie należy traktować jako jeszcze jednej uroczystości, podczas której wszelka krytyka jest w złym tonie.

Dwudziesta rocznica odzyskania niepodległości narodowej dała powód do ogłoszenia znacznej liczby artykułów i rozpraw, obrazujących dotychczasowy dorobek państwa polskiego w najrozmaitszych dziedzinach. Lecz zestawienia te mają niemal zawsze jedną lukę: że dają obraz osiągnięć lub niedociągnięć wybitnie jednopłaszczyznowy i pozbawiony ustawienia perspektywicznego wskutek zupełnego niemal oderwania od tych obiektywnych kryteriów porównawczych, które dopiero nadają bryłowatość poszczególnym spostrzeżeniom i pełny walor polityczno-gospodarczy wyciąganym z nich wniosków. Może działały tu względy natury taktyczno-propagandowej. Lecz raczej wypada mniemać, że przełomowy charakter przeżywanej przez nas epoki wymaga przede wszystkim jasnego spojrzenia na rzeczywistość i niewzruszonej diagnozy, zdolnej pociągnąć i mobilizować twórczą energię wszystkich istotnych czynników gospodarstwa społecznego.

Jakież jednak mogą być te względnie obiektywne kryteria dla należytej oceny wyników gospodarstwa narodowego? Wydaje się, że będzie to przede wszystkim porównanie ich z analogicznymi wynikami innych współzawodniczących z nami organizmów gospodarczych, oraz po wtóre — kontrola efektu ostatecznego tych wyników dla podźwignięcia w górę sprawności, dobrobytu i kultury ludności oraz gospodarczej i pozagospodarczej potęgi państwa. Żyjemy wciąż jeszcze w epoce nie harmonijnej międzynarodowej współpracy gospodarczej lecz w epoce, gdy międzynarodowe współzawodnictwo gospodarcze jest zażartą walką o byt nie tylko jednostkowy lecz i narodowy, gdy jest ono tylko przygotowaniem do znacznie głębiej sięgającego wyrównania rachunków między ścierającymi się interesami. Miara talentu organizatorskiego, miara tężyzny i sprawności na polu tego współzawodnictwa gospodarczego w ogromnym stopniu decyduje — zwłaszcza dla narodów uboższych i zapóźnionych w rozwoju — o szansach uporania się z temi wszystkiemi próbami dziejowemi, na które nasze pokolenie musi być w szczególności przygotowane. Ważne jest więc *nie tylko* a może nawet *nie tyle* to, cośmy sami osiągnęli lub zaniedbali, lecz również a nawet jeszcze bardziej to, w jakim kierunku zmieniliśmy naszą działalnością układ sił i potencjałów gospodarczych w sferze naszego wpływu i w sferze naszych interesów.

Nie mogąc przeprowadzić na tym miejscu pełnego bilansu gospodarki polskiej w okresie dwóch pierwszych dziesięcioleci istnienia państwa polskiego, poprzestaniemy tylko na rozpatrzeniu pod powyższym kątem widzenia paru najbardziej fundamentalnych elementów tej gospodarki. Zacznijmy więc od czynnika, który musi być punktem wyjścia i celem wszelkiej działalności gospodarczej, a mianowicie — od ludności. Wiadomo, że pod względem przyrostu ludności Polska zajmowała jedno z pierwszych miejsc w Europie, a nawet na kuli ziemskiej. Lud-

ność największych państw europejskich (poza Z. S. R. R.) wynosiła w milionach:

Kraje	w r. 1920	r. 1930	r. 1936—37	Przyrost ogólny
Niemcy	59.9	66.0	67.1	+7.2
Anglia	44.0	46.0	47.1	+3.1
Włochy	38.7	41.1	42.3	+3.6
Francja	39.2	41.8	41.9	+2.7
Polska	27.2	32.1	34.5	+7.3

Dwudziestosiedmio milionowa Polska dała nawet bezwzględny przyrost ludności większy niż sześćdziesięciomilionowa Rzesza Niemiecka, większy niż 80-milionowy blok łaciński i znacznie większy niż 85-milionowy blok anglo-francuski. Pod względem liczby swych mieszkańców Polska niewątpliwie doganiała główne mocarstwa zachodnie. O szybkości tego doganiania najdobitniej może świadczyć ten fakt, że nawet pomimo przyłączenia 10 milionów ludności Austrii i kraju Sudeckiego do Rzeszy Niemieckiej stosunek ludności obu państw pozostał w roku 1938 prawie taki sam jak był w roku 1920, gdyż wynosi i teraz jak wówczas mniej więcej 1 : 2,3. Jakie było znaczenie gospodarcze tego procesu?

Jest u nas — jak wiadomo — cała szkoła ekonomistów, którzy w silnym przyroście ludności widzą główne źródło naszych trudności i najważniejszą przyczynę „pauperyzacji". Nie zgadzamy się z tą koncepcją. Niewątpliwie *przeludnienie* pewnych okolic i pewnych dziedzin pracy może *przy dzisiejszej anachronicznej strukturze społecznej i gospodarczej* przysparzać ogromnych doraźnych trudności polityce gospodarczej państwa. Przy błędnym kierunku lub przy niedołężnym wykonywaniu przesłanek tej polityki te trudności doraźne mogą nawet zagrozić samej zasadzie witalnej społeczeństwa. Ale nawet najwięksi pesymiści nie mogą zaprzeczyć, że skoro człowiek jest jedynym źródłem bogactwa i postępu, to szybki przyrost ludności stwarza dla państwa co najmniej potencjalne rezerwy dalszego tem energiczniejszego rozkwitu.

A przecież niezależnie od tych przesłanek ogólnych, w obecnej epoce dążeń autarkicznych, gdy ekspansja na rynki zewnętrzne jest w znacznym stopniu ułatwiona przez całkowite opanowanie i wyzyskanie rynku wewnętrznego, — silny przyrost ludności, wzmagając walor tego rynku wewnętrznego, może i powinien stać się dla racjonalnej i planowej polityki gospodarczej cennym narzędziem współzawodnictwa gospodarczego.

Dlatego wyniki procesów demograficznych zaliczamy do niewątpliwych plusów w bilansie ubiegłego dwudziestolecia. Ale taka ocena nie może zasłaniać nam oczu na fakt, że te *samorzutne procesy demograficzne krzyżują się z procesami, płynącymi ze świadomej zorganizowanej woli zbiorowej*. W ostatecznym rachunku również i bilans ludnościowy — o ile chodzi o naszych największych sąsiadów bezpośrednich — kształtuje się dla nas ujemnie. Prawda, że ludność Polski dzisiejszej stanowi w przybliżeniu taki sam odsetek ludności Trzeciej powiększonej Rzeszy, jaki w roku 1920 stanowiła w stosunku do republiki weimarskiej. Ale nie można zapominać, że wówczas Polska oddzielona była od Rzeszy całym wieńcem państw pomniejszych, które były lub mogły być jej współpartnerami a częściowo również terenem jej ekspansji. Dziś aneksja Austrii oraz kraju sudeckiego przez Rzeszę, gospodarcze uzależnienie od niej Czechosłowacji kadłubowej i tryumfalna ekspansja niemiecka na rynki południowo-wschodnie oznacza nie tylko tworzenie olbrzymich kompleksów ludnościowych, lecz i kumulację potencjałów gospodarczych, wskutek czego możemy wkrótce znaleźć się w wyłącznym sąsiedztwie największej potęgi przemysłowej świata.

Jeżeli dodamy do tego, że jednocześnie za naszą ścianą wschodnią dynamizm demograficzny był jeszcze szybszy niż u nas (ludność Z.S.R.R. w okresie 1925 — 26 była 4½ razy liczniejsza niż u nas, obecnie zaś jest już 5 razy liczniejsza), to stanie się oczywiste, że nawet w tej dziedzinie nie możemy odczuwać zbytniego uspokojenia, a to tem bardziej, że tempo przyrostu ludności słabnie również i u nas z biegiem czasu nieustannie.

Jeżeli teraz od tych procesów samorzutnych, w słabym tylko stopniu poddających się normowaniu zbiorowemu, przejdziemy do bezpośredniej działalności gospodarczej, to przede wszystkim spotykamy się tu zawsze z postawą, która usiłuje usprawiedliwić nasze niedociągnięcia fatalną spuścizną po rządach zaborczych, a główny powód do dumy widzi w przezwyciężaniu straszliwych zniszczeń wojennych oraz w dokonanej unifikacji trzech dawnych zaborów, posiadających przedtem odrębną strukturę społeczną, odrębną kulturę gospodarczą, odrębne tradycje handlowe, odrębne powiązania rynkowe, nie skoordynowaną sieć komunikacyjną itp.

Nie zamierzamy w żadnym stopniu pomniejszać znaczenia tych momentów. Skoro jednak zostały już one ugruntowane w całej niemal literaturze, poświęconej temu przedmiotowi i weszły w krew i ciało każdodziennej publicystyki i propagandy, to godzi się przypomnieć dla zachowania należytej perspektywy, że te trudności bynajmniej nie wszystkie były tylko naszym wyłącznie udziałem, że nie tylko my jedni przeszliśmy zniszczenia wojenne i nie tylko my jedni musieliśmy improwizować budowę własnej państwowości na gruzach i rumowiskach, pozostawionych przez dawnych najeźdźców. A gdybyśmy nawet uważali, że konwulsje porodowe były u nas szczególnie ciężkie, to i tak musimy baczyć, że nieczuły świat zewnętrzny zawsze jednakowo będzie szukał każdego pęknięcia w naszym pancerzu ekonomicznym, aby nas tamtędy jak najboleśniej ugodzić, nie dbając ani trochę o takie lub inne przyczyny naszej słabości. Musimy więc czujnie kontrolować uzyskane przez nas wyniki z takimiż osiągnięciami naszych sąsiadów, przyjaciół i współzawodników.

Ponieważ w kraju tak bardzo zapóźnionym pod względem rozwoju gospodarczego rozstrzygające znaczenie ma sprawa uprzemysłowienia, więc poświęcimy nasz przegląd niemal wyłącznie syntetycznemu zestawieniu rozbiegu przemysłu w różnych krajach w ciągu całego okresu powojennego. Oprzemy

się przy tem na wskaźnikach ogólnej produkcji przemysłowej, opracowywanych przez krajowe Instytuty Badania Koniunktur. Największą trudnością było tu sprowadzenie tych wskaźników do poziomu przedwojennego. Dla zachowania jednolitości metody oprzemy się więc na opracowaniu Dra Wagenühra z ramienia Instytutu Berlińskiego [1]). Autor dokonał tego przeliczenia dla roku 1928. Przeliczenia dla lat następnych zostały dokonane według liczb wskaźnikowych podanych w Małym Roczniku Statystycznym z r. 1938, względnie — w „Buletin Mensuel" Ligi Narodów. Uwzględniliśmy przy tym możliwie najwięcej krajów europejskich, lecz tylko wyjątkowo ważniejsze kraje zamorskie (Stany Zjednoczone, Japonia). Uzyskany obraz rozbiegu uprzemysłowienia wygląda następująco w kolejności wskaźników malejących:

Wskaźniki produkcji przemysłowej przy podstawie r. 1913 = 100.

Kraje	1920	1928	1930	1932	1934	1936	1937
Z. S. R. R.	19	143	236	330	428	686	763
Japonia	189	270	286	294	386	454	512
Grecja	240 [1])	337	350	343	424	473	507
Finlandia	70	227	202	184	259	295	320
Norwegia	140 [2])	175	196	181	191	226	249
Szwecja	83	133	169	132	169	204	224
Dania	128	139	162	136	175	196	201
Włochy	94	159	159	116	138	152	173
Stany Zjednoczone	121	159	136	92	109	149	157
Węgry	81	111	107	88	111	146	156
Holandia	110 [1])	164	154	105	118	121	152
Rumunia	55	108	108	99	140	150	151
Czechosłowacja	73	137	127	90	95	115	138
Niemcy	61	112	98	61	91	121	134
Belgia	74	137	123	96	101	121	130
Anglia	100	93	92	81	97	115	123
Francja	62	127	139	96	99	99	103
Polska	47	90	81	57	71	85	100
Europa bez Z. S. R. R.	66	115	109	84	101	118	130
Świat bez Z. S. R. R.	86	137	125	92	111	138	148

Można, oczywiście, mieć poważne zastrzeżenia co do stopnia porównywalności wskaźników i co do ścisłości szacunków, stanowiących podstawę przy ich opracowywaniu. Można, zwłaszcza kwestionować ścisłość przyjętej metody sprowadzania tych wskaźników do wspólnego mianownika przedwojennego. Ale nie można przecież wmawiać w siebie, że wskaźniki te są akurat u nas obliczane w sposób najbardziej pesymistyczny na kuli ziemskiej. A przecież nie ma ani jednego prawie ważniejszego kraju w Europie lub za oceanem, który by wykazywał tak rozpaczliwie niskie tempo rozwoju przemysłowego w ciągu całego prawie ostatniego ćwierćwiecza.

Prawda, że znaczna większość tych krajów miała po wojnie łatwiejszy start, bądź już przewyższając w mniejszym lub większym stopniu poziom przedwojenny, bądź wykazując stosunkowo nieznaczny spadek produkcji wskutek wypadków wojennych. Ale były też kraje, w których spustoszenia wojenne były nie mniejsze lub jeszcze sroższe, niż u nas. A pomimo to, już w pierwszym okresie ożywienia powojennego, w roku 1928, znaleźliśmy się pod względem odbudowy gospodarczej na jednym z ostatnich miejsc. Niestety, w następnym okresie kryzysu wszechświatowego, tempo spadku okazało się u nas tak samo szybsze, niż w innych krajach, jak przedtem tempo przyrostu było powolniejsze. Gdy zaś po przełamaniu kryzysu zaczęła się era nowej koniunktury, daliśmy się znowu prześcignąć niemal wszystkim naszym współzawodnikom. Spośród ważniejszych mocarstw zachodnich tylko jedna Francja wykazała w 10-leciu 1928 — 1938 mniej korzystną od naszej ewolucję, ale nie można zapominać, że we Francji był to tylko okres przejściowy, poprzedzony przed tem okresem stosunkowo bujnego rozwoju i spowodowany przyczynami raczej pozagospodarczej natury.

W rezultacie, miejsce nasze w wielkiej rodzinie narodów pogorszyło się bardzo znacznie. Aż dotąd zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że od poziomu przedwojennego, uciekają siedmiomilowymi butami takie egzotyczne z tych lub innych powodów kraje, jak Rosja Sowiecka lub Japonia. Zakorzeniony sceptycyzm co do wartości danych statystycznych naszego wschodniego sąsiada oraz brak bezpośrednich kontaktów z odległą krainą wschodzącego słońca, pozwalał nam dość spokojnie traktować te przesunięcia w układzie gospodarki światowej. Pora już jednak zrozumieć, że ani sowieckie ani japońskie współczynniki wzrostu nie były wcale czemś tak znowu bardzo wyjątkowym lub nieosiągalnym, gdyż są raczej miarodajne dla większości gospodarstw narodowych, pozostających w stadium rozwoju „młodego" kapitalizmu. Pora już zrozumieć, że ogromna większość krajów agrarnych i półagrarnych w Europie i za oceanem poczyniła również ogromne postępy pod względem uprzemysłowienia w okresie, gdy my — w ostatecznym rachunku — deptaliśmy raczej w miejscu. Prawda, że postępy uprzemysłowienia tych słabszych gospodarstw narodowych stosunkowo jeszcze słabo odbijają się we wzroście wskaźników ogólnoświatowych, ale cofanie się nasze nawet w stosunku do przeciętnego poziomu europejskiego i światowego jest dostatecznie jaskrawe i niepokojące.

Równie zaś lub może jeszcze bardziej niepokojące jest przesunięcie w potencjałach gospodarczych wobec naszych najbliższych sąsiadów. Polska nigdy nie mogła się mierzyć swymi bezpośrednimi zasobami gospodarczymi ani z Rzeszą Niemiecką, ani z kolosem rosyjskim. Ale chociaż zaczęliśmy odbudowywać naszą państwowość na ruinach i zgliszczach powojennych, to jednak w okresie 1918 — 1924 mieliśmy w ręku szereg atutów historycznych, które pozwalały nam na odegranie stosunkowo ambitnej roli wobec bliższych i dalszych sąsiadów. Nie mieliśmy, bądź co bądź, ani tego olbrzymiego brzemienia długów publicznych, pod którym uginały się mocarstwa wojujące, ani tego garbu odszkodowań i reperacji wojennych, który zniekształcał i częściowo paraliżował gospodarstwo niemieckie, ani też nasze zniszcze-

[1]) „Vierteljahrshefte für Koniunkturforschung", Sonderheft 31.
[1]) R. 1921.
[2]) R. 1922.

nia wojenne nie były nawet w przybliżeniu tak przerażające, jak te, które nastąpiły wskutek konwulsji rewolucyjnych w Z. S. R. R.

I dlatego, pomimo improwizowania dzieła odbudowy w okresie 1918 — 1924 r. stanowiliśmy wobec naszych sąsiadów siłę stosunkowo nawet większą niż przed wojną. Jeżeli mianowicie produkcję polską danego roku przyjąć za 100, to produkcja naszych sąsiadów wyrażała się w niektórych gałęziach przemysłu według naszych Roczników statystycznych w następujący sposób:

	1913	1923	1928	1936
Węgiel kamienny.				
Polska	100	100	100	100
Niemcy	344	173	400	493
Rosja	71	37	88	413
Ropa naftowa.				
Polska	100	100	100	100
Rosja	854	721	1.710	5.400
Rumunia	172	205	614	1.740
żelazo surowe.				
Polska	100	100	100	100
Niemcy	1.091	874	1.957	2.550
Rosja	398	76	485	2.400
Stal.				
Polska	100	100	100	100
Niemcy	728	550	1.170	1.710
Rosja	262	64	307	1.470
Cynk — metal.				
Polska	100	100	100	100
Niemcy	58	36	60	146
Rosja	0	0	0	71
Ołów.				
Polska	100	100	100	100
Niemcy	352	280	235	967
Wrzeciona w przem. bawełnianym.				
Polska	100	—	100	100
Niemcy	847	—	608	532
Rosja	580	—	397	514
Papier i tektura.				
Polska	100	—	100	100
Niemcy	3.050	—	1.630	1.500
Rosja	538	—	190	402

Porównanie to dotyczy niemal wyłącznie ciężkiego przemysłu surowcowego, dla którego rozporządzamy odnośnemi danemi statystycznemi. Świadczy zaś ono, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w tej wyłącznej domenie skoncentrowanego wielkiego kapitału i faktycznego monopolu kartelowego pierwszy okres po odzyskaniu niepodległości nie tylko nie był okresem najbardziej niepomyślnym, lecz odwrotnie: stosunek potencjałów gospodarczych i wskaźników produkcyjnych był wówczas lepszy niż przed wojną, a zaczął się pogarszać — i to często w tempie katastrofalnym — dopiero po faktycznym przezwyciężeniu trudności odbudowy, to jest właśnie po roku 1926 i 1928.

Dociekanie przyczyn tego zjawiska zaprowadziłoby nas zbyt daleko, jak na ramy tego artykułu. Nie ulega wątpliwości, że często było ono następstwem przyczyn obiektywnych, np. wyczerpywania się zasobów nafty w zagłębiach podkarpackich itp. Lecz nie może chyba ulegać wątpliwości i to, że bilans ten jest również surowym osądem dla metod, dla zaradności, dla siły przewidywania i poczucia odpowiedzialności monopolistycznych ośrodków dyspozycji gospodarczej i kapitałowej. Nie może chyba ulegać wątpliwości, że bilans ten oznacza nieodparte wezwanie do zmiany metod polityki gospodarczej i do jak najszybszego nagięcia produkcyjnego aparatu przemysłowego do palących i nie cierpiących już zwłoki potrzeb zbiorowych społeczeństwa.

Nie trzeba bowiem tłumaczyć, na jakie niebezpieczeństwa skazuje cały organizm społeczno-gospodarczy krótkowidztwo lub sobkostwo „niezłomnych strażników" szeroko pojętej renty kartelowej i tych sił, które ich popierają. Ceną, płaconą przez cały naród, jest dalszy wzrost przeludnienia agrarnego i bezrobocia, ceną jest ustawiczne obniżanie poziomu życia materialnego i kulturalnego, a więc i zaprzepaszczenie rynku wewnętrznego, ceną jest nie tylko petryfikacja lecz nawet i potęgowanie zacofania i barbarzyństwa przedwojennego.

A poza tem ceną jest równie i osłabianie potencjału obronnego państwa. Organizm, przemocą pozbawiany dopływu takich najcenniejszych pierwiastków odżywczych jak węgiel i żelazo, skazany jest na anemię i na słabość nawet gdyby miał zapewniony dostateczny dopływ białka itp. W rzeczywistości jednak brak żelaza lub węgla w organizmie społecznym nie tylko utrudnia mu stworzenie mocnego pancerza obronnego lecz nawet powoduje i zmniejszony dopływ białek. Słabość bowiem przemysłu hamuje również rozwój produkcji rolnej i wiąże wszystkie procesy ozdrowieńcze w gospodarstwie narodowym.

I dlatego, nie zatrzymując się nad innemi dziedzinami bilansu 20-lecia, stwierdzamy, że już sam fakt zobrazowanego powyżej antynarodowego i antypaństwowego nastawienia dysponentów wielkiego przemysłu woła wielkim głosem o przyśpieszenie dzieła głębokiej reformy społeczno-gospodarczej.

STEFAN ZAWADZKI

APETYT CHŁOPSKI

Niezrównany byłby pożytek rozchwiania czarnej magii słów, którą otoczono zagadnienie zbożowe.
Zróbmy więc próbę.

W rozważaniach niniejszych stać będziemy na stanowisku, że dane, dotyczące wielkości zbiorów płodów rolnych w Polsce — jeżeli chodzi o obraz dynamiki tych zbiorów w ostatnim dziesięcioleciu — odpowiadają rzeczywistości.

Założenie to — zdajemy sobie sprawę — wymagałoby specjalnego i dokładnego uzasadnienia zarówno ściśle statystycznego, jak i ogólno ekonomicznego. Mamy jednak wrażenie, że wystarczy uświadomić sobie daleko posunięte skurczenie zużycia nawozów sztucznych w latach 1928 — 37 i wyjątkowo ostry spadek w tych latach wydatków inwestycyjnych maszynowo - narzędziowych w rolnictwie, aby już w tych dwuch czynnikach działających in minus, znaleźć dostateczne pokrycie na wyrównanie tych wszystkich bodźców dodatnich, jakie niewątpliwie w okresie 1928 — 37 miały miejsce na wsi polskiej: ogólny wzrost oświaty powszechnej i rolniczej, znaczny postęp wszelkiego rodzaju prac regulacyjno - melioracyjnych, taniość i obfitość czynnika pracy, rosnące pogłowie bydła rogatego i trzody chlewnej. I dlatego uznajemy za zjawisko raczej pomyślne, a nie dziwne i niewytłumaczalne, że pomimo wszystkich ciosów, jakie spadły na rolnictwo polskie w latach 1928 — 37, lata urodzajne 1929, 1933 i 1938 wykazują np. w zakresie czterech zbóż też same mniej więcej zbiory: 13,4; 13,4 i 13,3 miln. ton. Nie widzimy również żadnej racji, ażeby obliczenia statystyczne zbiorów, notujące tak dobrze np. w zakresie ziemniaków dynamikę rozwojową: stale od jedenastu lat rosnący obszar uprawy (z 2505 tys. ha na 3030 tys. ha), przy średnich zbiorach 30,3 miln. ton w pięcioleciu 1928 — 32 i 33,8 miln. ton w pięcioleciu 1933 — 37 — miały nagle w sposób zasadniczy zawodzić w ujmowaniu dynamiki rozwojowej w zakresie czterech zbóż. Zwłaszcza, że i w tym zakresie liczby statystyczne w pełni przemawiają nam do przekonania: prawie równym w latach 1929, 1933 i 1938 zbiorom czterech zbóż — towarzyszy dość znaczny wzrost obszaru, z którego zbiory zostały dokonane: 10,68; 10,84 i 11,11 milionów hektarów. (Przypominamy, że ściśle rzecz ujmując, w statystyce polskiej nie mamy obszaru zasiewów, a tylko obszar, z którego zostały dokonane zbiory). W ten sposób wielkość zbiorów utrzymuje się jedynie dzięki rozszerzonemu obszarowi, pomimo spadającej nieco wydajności (w stosunku do roku 1938 w porównaniu z rokiem 1933, znajdującej nb. swoje uzasadnienie również w nieco gorszym urodzaju).

Te wstępne wywody były koniecznością, aby móc w należyty sposób uchwycić w zakresie sytuacji zbożowej polską rzeczywistość, która nawet w ujęciu tak poważnego znawcy zagadnień rolniczych, jak Kazimierz Fudakowski, wikła się w takich oto pozornych, nie rozjaśnionych do końca sprzecznościach:

1. „(Jeżeli) objąć wzrokiem całą rzeczywistość wiejską, wówczas ujrzymy wzrost niedojadania przez ludność rolniczą, zwiększoną liczbę dzieci dokarmianych w wiejskich szkołach, niepokojące karlenie młodego pokolenia skutkiem złego odżywiania... ujrzymy wielkie połacie kraju, w których przednówek bez chleba coraz wcześniej się zaczyna... I jak wytłumaczyć ten wygląd i te braki inaczej, jak tem, że *ta sama ilość zboża* (podkr. nasze), starczyć musi na przeżywienie wzrastającej liczby ludzi i inwentarza”.

2. „I trzeba naprawdę wielkiego sfałszowania pojęć, żeby zaprzeczyć odwiecznej prawdzie, która głosi, że obfitość dóbr jest łaską i dobrobytem, a brak ich klęską i nędzą”.

„Przyrost naszej produkcji rolniczej, a tem samem i zboża, jest koniecznością”...

3. „Dążenie do pomnożenia produkcji rolnej sprawia, że liczyć się musimy z posiadaniem nadwyżek, które sprzedać trzeba na rynkach światowych. Otóż ta okoliczność niezmiernie utrudnia walkę o poziom cen rolniczych, szczególniej w chwilach, gdy ceny na rynkach (światowych) spadają”.

4. „46 proc. zboża, rzuconego na rynek wewnętrzny, pochodzi z produkcji włościańskiej”.

(Wszystkie cytaty z przemówienia sen. Kazimierza Fudakowskiego, jako referenta ustawy o środkach finansowych na popieranie gospodarczo uzasadnionego kształtowania cen artykułów rolniczych, na plenum Senatu w dn. 26 lipca b. r.).

Fakty ujęte przez p. Fudakowskiego w punkcie 1. nie podlegają dla nas wątpliwości, pierwsze stwierdzenie punktu 2. nie podlega również dyskusji, drugiego natomiast stwierdzenia tego punktu nie możemy już przyjąć bez zastrzeżeń, skoro pierwsze stwierdzenie punktu trzeciego w rzeczywistości polskiej powinno brzmieć zupełnie inaczej, niż to sformułował p. Fudakowski: „Pomimo stanu rzeczy przedstawionego w punkcie pierwszym, mamy w zakresie zbóż nadwyżki”, bo „46 proc. zboża, rzuconego na rynek wewnętrzny, pochodzi z produkcji włościańskiej” (znowu prawdziwy fakt polskiej rzeczywistości ujęty w punkcie 4).

To nie dopiero „dążenie do pomnożenia produkcji rolnej sprawia, że liczyć się musimy z posiadaniem nadwyżek (zbożowych)”; już dziś, poza latami nieurodzaju, pomimo względnego (w stosunku do ludności), spadku zbiorów zbóż w latach 1928 — 1938

nadwyżki takie posiadamy, i — dlatego dla szerokich mas chłopskich również względna obfitość dóbr (zboża), jest klęską i nędzą. I oto nasze zastrzeżenie do drugiego stwierdzenia punktu 2-go.

A skoro tak się naprawdę rzeczy mają, to pierwszym, naczelnym postulatem naszej polityki zbożowej powinno być usunięcie opartych na głodowej podaży chłopskiej nadwyżek, nie drogą sprzedawania ich na rynkach światowych, przy zawrotnych ofiarach Skarbu Państwa, ale drogą wzmożenia — choćby kosztem tych samych kwot, zaczerpniętych ze Skarbu Państwa — konsumpcji szerokich mas chłopskich w zakresie zbóż. Tylko wtenczas bowiem, nie tylko „bez fałszowania pojęć" — ale co ważniejsza bez fałszowania polskiej rzeczywistości chłopskiej nie da się zaprzeczyć odwiecznej prawdzie, że „obfitość dóbr, jest łaską i dobrobytem, a brak ich klęską i nędzą". Inaczej prawda odwieczna musi być złożona na czas jakiś do skarbnicy prawd względnych, przez co jednak jeszcze postulat, że „obfitość dóbr powinna być łaską i dobrobytem, a brak ich klęską i nędzą" nic nie traci ze swej wieczności.

Kto — jak p. Fudakowski — na podstawie jakże słusznej w tym wypadku metody optycznej, dochodzi do przekonania, że liczby statystyczne, dotyczące zbiorów zbóż w Polsce, wiernie oddają dynamikę wielkości tych zbiorów w ostatnim dziesięcioleciu, kto nie zamyka sobie oczu na rzeczywistość przez wyciąganie fałszywych wniosków o przyroście polskiej produkcji zbożowej w ostatnim dziesięcioleciu, z prawdziwego stwierdzenia, że „spożycie na głowę bez względu na mierniki statystyczne jest wyższe, niż w okresie *powojennym*" (jak gdyby chodziło tu naprawdę o porównanie z okresem powojennym, a nie z okresem z lat 1926 — 28), ten — jak słusznie stwierdził to Franciszek Kozłowski w Nr 15 „Gospodarki Narodowej" (ostatnia cytata z tego samego artykułu), musi się zgodzić, że „cała polityka popierania wywozu zbóż staje się nonsensem i „daje się bronić tylko w płaszczyźnie egoizmu warsztatów czysto zbożowych". I dlatego, nie chcąc dojść do tego wniosku, i sen. Fudakowski nie mówi o realnych naszych nadwyżkach wywozowych, a tylko o tem, że „dążenie do pomnożenia produkcji rolnej sprawia, że liczyć się musimy z posiadaniem nadwyżek, które sprzedać trzeba (chyba powinno być raczej „będzie trzeba" — przypisek nasz), na rynkach światowych".

Skoro bowiem „nie dojdziemy do ładu w Polsce, jeżeli wskazaniem postępowania gospodarczo - społecznego będzie egoistyczny interes jakiejkolwiek klasy czy grupy" (cytat z tegoż przemówienia sen. Fudakowskiego), trudno było by p. Fudakowskiemu wprost popierać „egoizm warsztatów czysto - zbożowych", dopóki „46% zboża, rzucanego na rynek wewnętrzny, pochodzi z produkcji włościańskiej", a nasz maksymalny wywóz — po odliczeniu kwot jęczmienia browarnego — nigdy nie sięgał wysokości podaży zbóż, płynącej z produkcji włościańskiej (spożycie wewnętrzne, nie rolnicze, przyjmujemy tylko na 2 miln. ton).

I oto dochodzimy do sedna sprawy: jeżeli zlikwidować głodową podaż włościańską w zakresie zbóż i podnieść chociaż o parę procent konsumpcję zbói przez te warstwy chłopskie, które nie mogą się zdobyć nawet na podaż głodową zbóż, ale tem niemniej stanowią grupę ludności o wybitnej niedokonsumpcji w zakresie zbóż (zakładamy, schematycznie, że warstwy te kupią zboże przede wszystkim u bogatszych włościan i tem samem podaż zboża przez tych włościan na rynek wewnętrzny — nie rolniczy — spadnie prawie do zera), to nie będziemy mieli nadwyżek zbożowych, nawet w latach urodzaju, i tem samem w naturalny sposób znajdziemy się na drodze rozwoju naszej produkcji zbożowej, bez uciekania się do głodowania polskiej wsi, tak plastycznie ujętego przez p. Fudakowskiego.

Czy istnieją w dyspozycji Państwa w tym zakresie środki równie skuteczne w swym bezpośrednim odziaływaniu, jak wypłata premii i superpremii przy wywozie zbóż? O takie bowiem tylko środki chodzi, jeżeli mówimy o polityce na dziś, a nie o polityce wiążącej się z zasadniczymi, strukturalnymi przekształceniami polskiej wsi.

Otóż jesteśmy głęboko przekonani, że środki takie istnieją i polegają *poprostu* na bezpośrednim odciążeniu najuboższej wsi (granicy podziału na razie nie proponujemy) z ciężaru podatku gruntowego państwowego wraz z odpowiednią częścią dodatku samorządowego do tegoż podatku (tę część wpływów wpłacałby odnośnym samorządom Skarb Państwa).

Policzmy: jeżeli nawet z 66 miln. zł, wydanych na premie zbożowe, np. w roku 1936/37, odliczymy 16 milionów na premie wywozowe, potrzebne dla jęczmienia browarnego, to pozostaje jeszcze kwota 50 milionów złotych, która nie wypompowywana z najbiedniejszej wsi w postaci podatku gruntowego i dopłat samorządowych do tego podatku wzmagałaby konsumpcję głodujących warstw chłopskich w zakresie żyta w następujących rozmiarach: dziś, kiedy cena płacona producentom za żyto wynosi około 12 zł za q, kwota ta równa się przeszło 400 tys. ton żyta, czyli zapewne całej naszej nadwyżce eksportowej w tym roku. (Nie należy przy tem sądzić, że powinniśmy przyjmować przy tych obliczeniach automatycznie cenę wyższą za żyto w związku ze wzrostem cen wskutek nie ciążenia na rynku nadwyżki, bo chodzi przecież o tę ilość zboża, która zjawia się na rynku w związku z podażą głodową i ustaloną przez tę podaż cen żyta).

Rozumiemy dobrze, że założenie o skierowaniu całej kwoty zaoszczędzonej przez biedną wieś na podatkach na zmniejszenie podaży głodowej wsi w zakresie żyta ma charakter wyraźnie schematyczny, a przytoczone obliczenie podaliśmy tylko w tym celu, aby wykazać, że proponowana przez nas droga zlikwidowania nadwyżki zbożowej przez odciążenie podatkowe najuboższej wsi mieści się — z grubsza rzecz biorąc — w zakresie wydatkowanych przez Państwo kwot na likwidację tej nadwyżki drogą eksportu. Jeżeliby tych kwot jednak użytych w proponowany przez nas sposób na likwidację nadwyżki zbożowej nie starczyło i Skarb Państwa musiał odpowiednią dotację podwyższyć, to sądzimy, że nawet np. podniesienie obecnych opłat przemiałowych, ce-

lem uzyskania dodatkowych kwot, inny miałoby podkład, gdyby opłaty te szły na podniesienie poziomu życia głodującej wsi, niż — jak dzisiaj — na usuwanie nadwyżki zbożowej drogą eksportu z dopłatą Skarbu 70 czy jeszcze więcej procent ad valorem.

A pozostaje otwarta jeszcze sprawa, czy w razie podobnego przeznaczenia kwot, pochodzących z opłat od mąki i kaszy, nawet przy obecnej stawce, wpływy te nie byłyby o wiele większe, wobec solidarnej kontroli ściągania opłaty przez zainteresowane masy chłopskie.

Byłoby wówczas doprawdy tak, jak być powinno według słów senatora Fudakowskiego: „Kanonem postępowania i jego celem musi być interes narodu polskiego i jego Państwa".

I dlatego nie jest w porządku — chociaż nas to bynajmniej nie dziwi, — że cała Komisja Opiniodawcza w sprawie zużycia nagromadzonych funduszów z opłat od mąki i kaszy nie zatroszczyła się o to, jak zlikwidować „nadwyżkę" zbożową w kraju, a tylko wiedziała jedno: dopłacać i eksportować.

Tak bowiem zakorzenił się w mózgach dogmat, że żaden skrawek ziemi nie może być zwolniony od podatku, iż rzeczywiście trzeba myśleć wysoce adogmatycznie, aby od tej strony podejść do zagadnienia. Pamiętamy wszyscy, ile wylano łez nad degresją podatku gruntowego: podobno każda taka sama morga powinna płacić jednakowo, bez względu na to, w czyich znajduje się rękach. Ale ostatecznie degresję jakoś przebolało, na następny jednak krok — na minimum wolne od podatku gruntowego w ogóle — zdobyć się nie możemy nawet w latach kiedy wielkie masy chłopskie nie tylko nie mają żadnego dochodu od posiadanego majątku, ale nawet pracując na swoich działkach, nie mają przychodu równego liczbie przepracowanych dni opłaconych według stawek otrzymywanych w tych czasach przez robotników rolnych. Morga musi płacić!

W podatku dochodowym przyjęto wszędzie zasadę minimum wolnego od podatku, i nikt nie uważa tego za niemoralne i zgubne dla zdrowia narodu, nędzarz wiejski płacić musi nawet od jednej morgi ziemi, bo to jest podatek rzeczowy. Znikło podymne, które zmieniało chaty chłopskie w kłębowiska dymu i czadu, podatek od morgi pozostał wrośnięty w nędzę chłopską, jak perz w zaniedbaną rolę.

Czyżby nie czas wobec „karlenia młodego pokolenia, skutkiem złego odżywiania, co pociąga za sobą spadek liczby poborowych wiejskiego pochodzenia, zdolnych do służby wojskowej" (cytowane przemówienie sen. Fudakowskiego), zwolnić najbiedniejsze gospodarstwa chłopskie od podatku gruntowego, na który w pierwszym rzędzie idzie po korczyku po dwa żyta z milionów zagród chłopskich? I niech nikt nie mówi, że chodzi tutaj przecież o parę, czy kilka złotych, a więc o sumę niegodną uwagi. Przede wszystkim nie o parę, czy kilka złotych, bo jeżeli doliczyć do podatku państwowego dodatki samorządowe, łącznie z nie nakarmioną nigdy bestią, której na imię samorządowy podatek wyrównawczy, to kwota paru czy kilku złotych urasta do kilkunastu czy nawet czasem więcej złotych. I już korzec żyta trzeba nieść na plecach, na targ najbliższy, przyspieszając w ten sposób nieubłagany przednówek. A korzec żyta to dla karłowatych gospodarstw chłopskich nie bagatela.

Jakie zaś znaczenie przywiązuje się u nas, nawet oficjalnie do wpływu odciążenia podatkowego wsi na rozmiary podaży zbożowej, najlepiej świadczy o tem zawieszanie egzekucyj podatkowych w okresie pożniwnym, a więc wprowadzanie jakgdyby moratorium podatkowego na okres niebezpiecznej kumulacji podaży zbożowej przez wieś. A przecież — wobec wysokich w Polsce kredytów rejestrowych i dość znacznych kredytów zaliczkowych, moratorium podatkowe główne znaczenie ma dla mniejszych gospodarstw chłopskich, które de facto nie korzystają z żadnego rodzaju wymienionych wyżej kredytów. Jeżeli tak działa moratorium podatkowe, mamy prawo przypuszczać, że zupełne zniesienie podatku gruntowego i opartych na nim dodatków samorządowych oddziałałoby w sposób bardziej zasadniczy i zboże pozostałoby na konsumpcję karlejącego młodego pokolenia.

I jeżeliby przyszło za to osiągnięcie dopłacić nawet ze Skarbu Państwa jeszcze 20 czy trzydzieści milionów ponad wydatki związane z premiowaniem eksportu zbożowego, to sądzimy, że osiągnięcie to jest chyba nie mniej ważne od „pomocy zimowej" i też zasługuje na jakiś Naczelny Komitet, jeżeli już nie poprostu na paragraf w opancerzonym budżecie państwowym.

Przy likwidacji „nadwyżki" zbożowej w Polsce drogą odciążenia podatkowego najbiedniejszych mas chłopskich byłaby ponadto pewność, że całość kwoty przeznaczonej na pomoc rolnictwu rzeczywiście dotrze do wsi, że nie rozpłynie się po drodze w szereg bonifikacyj na rzecz kupiectwa i eksportu zbożowego; jednocześnie produkujący naprawdę na rynek rolnik wobec braku groźby podaży głodowej wsi miałby pewność, że nie ma nadwyżki zbożowej w kraju, że wobec tego, nie będzie spłacał kredytów rejestrowych w okresie niższych cen na zboże, niż ceny z okresu, kiedy kredyty rejestrowe zaciągał, miałby gwarancję stosunkowo wysokiej ceny na zboża w kraju.

Nie od rzeczy będzie również podkreślić, jak w razie uwolnienia od podatku gruntowego, państwowego i samorządowego milionów gospodarstw chłopskich, uprościłaby się praca jakże przeciążonych ściąganiem tego podatku urzędów skarbowych i gmin. Ciekawą byłoby w ogóle rzeczą ustalić, jaki jest koszt administracyjny ściągnięcia np. 20 dalszych (od najbiedniejszej wsi), milionów podatku gruntowego, ile ma się z tego naprawdę na czysto. Mamy wrażenie bowiem, że tak obliczony dochód ad valorem wypadłby w stosunku odwrotnym do kwot premii zbożowych, przerachowanych ad valorem wywożonego zboża.

*

* *

Ale dosyć już argumentów dla obrony sprawy jasnej i tak sugestywnej z punktu widzenia i ekonomicznego, i ogólnospołecznego, że widać nie o ar-

gumenty w niej chodzi, ale o powiew żywiołu dość silnego, aby zmienić klimat decyzyj, w których tkwimy, przegnać opary, co osiadając od lat, zgęstniały w jakże oporną zawalidrogę.

Obciążenie każdej morgi jednakiej jakości tym samym podatkiem ma na celu zapewnienie gospodarstwom większym równych praw rozwojowych z gospodarstwami małymi, obronę gospodarstw większych przed uprzywilejowaną konkurencyjnością (w razie niejednakowego podatku), ze strony gospodarstw małych.

Wiemy, że nawet przy naszym poziomie wyrobienia ekonomicznego, nie ma łbów tak tępych, żeby wobec polskiej rzeczywistości chłopskiej uważały, iż twierdzenie powyższe jest prawdziwe, ale wiemy aż nadto dobrze z codziennego doświadczenia, że tak gęste nagromadziły się naokoło opary, iż twierdzenie to, jeśli nawet nie jest prawdziwe, to może i musi być prawdziwe.

„Upadające razy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą" — tak szydził z demagogii Leonarda Zygmunt Krasiński w „Nieboskiej", wykazując, że ponad rzeczywistą rzeczywistość, przemawia doń silniej rzeczywistość postulowana. Niech sparafrazowane w stosunku do „myśli" ekonomicznej polskiego ziemiaństwa szyderstwo Krasińskiego odsłoni ten cały „egoizm klasowy", który woła, że morga płacić musi, bo takie są odwieczne prawa ekonomii.

Skoro zaś już stoimy twarzą w twarz wobec egoizmu klasowego, wszystko staje się jasne: daleka jest droga do tego, aby „nadwyżka" zbożowa w Polsce była likwidowana przez odciążenie podatkowe najbiedniejszej wsi, a nie przez rosnące jak na drożdżach premie zbożowe. Bo są w Polsce póki co dostateczne siły, aby zawsze postulowaną przez siebie rzeczywistość przemienić w rzeczywistość obowiązującą, chociaż nie rzeczywistą.

A przecież zawsze najważniejszym pozostaje w życiu to, co obowiązuje. I dlatego całe nasze rozważania miały na celu tylko jedno: odsłonić „egoizm klasowy" w zakresie dotychczasowych metod likwidacji „nadwyżki" zbożowej w Polsce. Na tym tle wszystko staje się zrozumiałe i rozważania nasze noszą tylko charakter rozważań wyraźnie porządkowych. Nie przeczymy, że rola to nad wyraz skromna. Choć może nie pozbawiona głębszego nurtu.

STEFAN MEYER

DUŻE I MAŁE

Przeludnienie wsi, zagadnienia zbytu węgla i żelaza, lub sprawa żydowska są fragmentami wyrwanymi z większej całości. Jest nią rozwój demograficzny Polski. Tylko jednolite i całkowite rozwiązanie tego zagadnienia może być skuteczne. Rozwiązaniem takim jest urbanizacja.

Duże i małe zagadnienia przeplatają się w naszym życiu publicznym i różny rozgłos w nim uzyskuje. Zagadnienie popularne, będące na ustach wszystkich, nie zawsze jest istotne dla rozwoju i przyszłości narodu. Malowanie płotów i żywopłotów na biało czy na błękitno, jest sprawą mniejszej wagi niż bezpieczeństwo życia. Opinia publiczna jednak więcej się zajmowała płotami, aniżeli plagą zabójstw na weselach lub brakiem policji na prowincji. Podobnie jest i w sprawie żydowskiej: zagadnienie siedzenia zajmowało opinię więcej aniżeli zagadnienie głów i kierownictwa... Czasem, zdarza się że opinię publiczną zajmuje sprawa istotnie ważna. Tak było przed kilkunastu laty z kwestią równowagi budżetowej, tak było z zagadnieniem bilansu handlowego. Tak jest stale, dzięki Bogu ze stosunkiem społeczeństwa do wojska. Stosunek opinii publicznej do danego zagadnienia nie jest więc miarą jego ciężaru gatunkowego. Miarą tego ciężaru gatunkowego jest związek z sąsiedniemi dziedzinami życia narodu... Sprawa waluty, lub zorganizowania opinii publicznej, zagadnienia prężności psychicznej narodu, są problematami o znacznie szerszym zasięgu, niżby mogło się w pierwszej chwili wydawać. Takich podstawowych zagadnień jest więcej. Chcę z nich dziś tylko jedno wydobyć, tylko jedno poruszyć i oświetlić, a *oświetlić* dość *jednostronnie.*

Asumpt do tego dało mi jedno z tych głośnych zagadnień, które zajmując dużo miejsca na szpaltach dzienników, a więcej jeszcze w opinii publicznej, bolesnym echem codzień się wdziera do mojej staroświeckiej, bo jeszcze przedwojennej świadomości: sprawa żydowska.

Z gospodarczego punktu widzenia istotą zagadnienia żydowskiego są funkcje społeczne i gospodarcze. Sama liczba — 10% ludności — nie wiele mówi. Więcej mówi: w miastach ogółem wg języka 24,3%, wg wyznania 27,3% (1931 r.). Więcej mówi: 18% dyplomów akademickich w roku szkolnym 1935/36, lub też udział w zawodach. Wg Małego Rocznika Statystycznego żydzi stanowią w handlu 59%, w przemyśle 21%, w komunikacji 12%; w rolnictwie natomiast 1% zatrudnionych.

To względne przeżydzenie handlu jest nie tyle niebezpieczeństwem absolutnym, co solą w oku elementów o mniejszej rutynie, niemniejszym uzdolnieniu, a większej ambicji znalezienia sobie „miejsca pod słońcem".

Co trzeba zrobić, aby niepożądanych było mniej?

Ano jedni mówią: „usunąć żydów".

A inni powiedzą: „wprowadzić nieżydów".

Która metoda jest słuszna, niech odpowiedzą inne cyfry z Małego Rocznika. Skład zawodowy ludności Polski w %% w porównaniu z innymi krajami wynosi [1]):

	Polska	Niemcy	Szwecja	Węgry
Przemysł i górnictwo	19	39	32	25
Rolnictwo	61	21	35	52
Handel	6	11	10	6
Komunikacja	4	6	7	4
Inne	10	23	16	13
przy ogólnej gęstości zaludnienia na 1 km²	89	134	14	96
a przy gęstości zaludnienia ludności rolnej na 1 km² gruntów ornych	104	72	brak danych w M. R. St.	82

Stwierdzamy więc, po raz nie wiem który, i względne i bezwzględne przeludnienie wsi polskiej. Wyraża się ono cyfrą 0,37 konsumentów miejskich na jednego mieszkańca wsi, a 0,65 nierolników na jednego zatrudnionego w rolnictwie w Polsce — wobec 3,51 w Niemczech, a 1,82 na Węgrzech. Aby zapewnić ludności wiejskiej znośną egzystencję trzeba powiększyć jej klientelę. Trzeba stworzyć jej odbiorców, przede wszystkim w postaci produkujących coś innego mieszkańców miast. A więc przez urbanizację.

No dobrze, przez urbanizację. Ale co to jest ta urbanizacja?

W oczach wielu, jest to przeniesienie bezrobotnych ze wsi gdzie wegetują, do miast, gdzie giną z głodu, lub obciążą budżety opieki społecznej. Nie; urbanizacja programowa i świadoma, to stworzenie takich warunków życia w miastach, aby ludność samorzutnie tam ciągnęła. A stworzenie takich warunków, to znaczy danie ludności nie tylko możliwości zarobkowania i życia lepszego niż na wsi, co również rozbudzenia świadomości i stworzenie nadziei na taką możliwość.

Wyobraźmy sobie, że urbanizacja już jest. że zbędne w 1931 r. 8 milionów ludności wiejskiej przechodzi do miast. Skład ogólny ludności byłby następujący:

	Wieś	Miasta
1931 r.	72%	28%
po urbanizacji	47%	53%

Wieś ma wówczas dość rąk do pracy, a w miastach stosunek ludności żydowskiej do nieżydowskiej ulega zasadniczej i istotnej zmianie: w handlu, zakładając zachowanie dzisiejszej proporcji składu zawodowego ludności mamy nie 59, a 30% w przemyślne nie 21 a 11%, w komunikacji nie 12 a 6% Żydów.

A teraz podejdźmy do tejże sprawy od innej strony: od strony rynku na wyroby przemysłowe. Według Landaua i Kaleckiego w 1929 r. spożycie wyrobów przemysłowych przez wieś wynosiło 2,8 miliarda, spożycie miejskie zaś 12,5, a więc spożycie miejskie wyrobów przemysłowych wynosiło 9,7 miliarda. To znaczy, że na głowę mieszkańca wsi spożycie wyrobów przemysłowych wynosiło zł 122 rocznie, podczas gdy mieszczuch konsumował towary i usługi przemysłowe w wysokości 10-krotnie wyższej.

Podwojenie ludności miejskiej w Polsce oznacza więc wzrost zapotrzebowania na produkty przemysłowe o 95%. Możemy śmiało przyjąć, że podwojenie ludności miejskiej podwoi zbyt przemysłu, bo choć zapotrzebowanie indywidualne nowo przybyłych mieszkańców miast będzie niższe niż dawnych, jednak potrzeby zespołowe wzrosną wielokrotnie wobec konieczności dostosowania naszych miast do przyrostu ludności.

Wśród licznych zagadnień demograficznych Polski zagadnienie żydowskie jest tylko jednym z wielu. Z zagadnień narodowościowych, mamy poza tem niemieckie i ukraińskie. Z zagadnień demograficznych mamy do rozwiązania przeludnienie wsi, mamy niedokarmione kresy wschodnie, mamy COP, jako zagadnienie nie produkcji, lecz zagadnienie przemieszczenia ludności.

Wyrywanie z tego kompleksu jednej sprawy i rozwiązywanie jej pałką, czy kamieniem, nie posuwa Polski naprzód, nie dopomaga nam w wyścigu międzynarodowym, nie podnosi stopy życiowej, ani zdrowia ludności.

Tylko łączne rozwiązywanie tych spraw może doprowadzić do korzystnych rezultatów. A łączne rozwiązanie — to właśnie urbanizacja.

Nie twierdzę bynajmniej, że szybka urbanizacja Polski sprawę żydowską lub agrarną bez reszty rozwiąże. Ale złagodzi jej ostrze, tak jak i złagodzić może ostrze szeregu innych zagadnień. Tu zresztą zapytać wypada, czy istnieje w ogóle „rozwiązanie" zagadnień społecznych, jak alkoholizm, przestępczość, prostytucja itp., rozwiązanie inne, aniżeli złagodzenie sprawy. Kompromitacja „wysuszenia" Stanów Zjednoczonych, walka z alkoholem w Norwegii itp., dowodzą, że „absolutne" usunięcie bolączek prowadzi do powstania nowych. Podobnie całkowite usunięcie bakterii z przewodu pokarmowego wywołuje komplikacje trawienia.

Drogi do urbanizacji są dwie: poprzez pracę u miejskiego pracodawcy i wyszkolenie tą drogą w zawodzie, lub poprzez samodzielne zarobkowanie. Ale obie te tzw. „naturalne" drogi są powolne. Aby przyśpieszyć ten proces, trzeba pokonać trudności, związane z miejscem pracy, oraz z przeszkoleniem kadr. Obie są ściśle ze sobą związane. Na to, aby przeszkolić do pracy, trzeba wiedzieć do jakiej. Na to, aby stworzyć warsztat pracy, trzeba mieć zapewniony dopływ sił roboczych.

Stworzenie warsztatów, tylu warsztatów pracy, aby w niewiele lat wchłonęły miliony ludzi, nie da się załatwić w drodze normalnego „zakładania" placówek wg. z góry przedyskutowanego planu. Tutaj tylko jeden czynnik może działać szybko — działać z potęgą żywiołu. Tym czynnikiem jest nadzieja na pewny dorobek. Nadzieja na pewny dorobek może

[1]) Zawodowo czynni i bierni.

Biorę dla porównania dwa kraje o najbardziej zbliżonej kulturze szlachecko-ziemiańskiej oraz najbliższego sąsiada: najgroźniejszego pod względem demograficznym.

stać się dość silnym bodźcem, o ile ryzykujący czuje nad sobą opiekę, a nie przeciwdziałanie. Czyje? Czy państwa, czy też tego państwa organów wykonawczych? Nie idzie mi tu bynajmniej o ustawową opiekę. Idzie o prostotę i zrozumiałość ustaw.

Polskie ustawy podatkowe są nieżyciowe w swej sprawiedliwości, są niegospodarcze przy ścisłym stosowaniu. Nowy narybek urbanizacyjny, ten element, który ma wejść do miast, — to ludzie o umyśle mało wyszkolonym w finezjach podatkowych koncepcji, a wcale nie wyszkolonym w żargonie zwanym u nas „językiem ustaw". Na to, aby młody przedsiębiorca mógł się orientować w tem, co mu wolno, w tem, jakie mu koszty i obciążenia grożą, musi móc łatwo zrozumieć koncepcję ustawodawcy. Do takich prostaków muszą mieć zastosowanie ustawy proste. Nie stać ich na kosztowne konsultacje buchalteryjne, na roztrząsanie z adwokatami jak księgować zaciągnięte pożyczki lub ulepszony dach. Kto wytłumaczy chłopu ze wsi, czy miasteczka, który zaczyna rozbudowywać swój interes i ze straganu robi sklep, że podatki od uposażeń służbowych, od rent pobieranych i od narastających w ramach warsztatu zdolności produkcyjnych, są zredagowane w jednej ustawie, i że dochód użyty na rozbudowę warsztatu jest tak samo opodatkowany, jak pensja konsumowana przez urzędnika. Przy tem, nie należy dążyć do pensji ani emerytury, lecz do samodzielnego warsztatu.

Drugą łamigłówką jest ustawa o opłatach stemplowych, pisana przez talmudystę dla talmudystów, a nie dla prostych ludzi.

Trzecia ustawa antygospodarcza, hamująca powstawanie nowych placówek, to ustawa o podatku przemysłowym. Podatek obrotowy jest w polskich warunkach absurdem. W rezultacie, polskie władze mają do czynienia z takim narybkiem życia gospodarczego, jaki sobie wychowały. Kwietyzm szczytów, chronionych od konkurencji i marazm dołów, drogą ustaw hamowanych w pędzie do własnych warsztatów pracy.

A więc konkretnie?

Skasowanie podatku obrotowego.

Komasacja opłat stemplowych i zmniejszenie wypadków ich stosowania.

Zastąpienie podatku dochodowego w jego dzisiejszej postaci podatkami: od uposażeń, od kapitałów i rent, od funduszów rozdzielanych między wspólników w spółkach jawnych, lub podnoszonych przez jednoosobowego właściciela. Pełne zwolnienie od podatków dochodowych wszelkich inwestycji produkcyjnych.

Przerzucenie większości wpływów podatkowych z podatków dochodowych na podatki pośrednie — konsumcyjne. Od okien, od powierzchni podłogi, od obuwia, od materiałów włókienniczych, od szkła luksusowego, od mebli, od dywanów, od pieców i kominów. Byle nie od tego dochodu, który idzie na wzmożenie produkcji, bo wzmożenie produkcji dóbr i usług, jest najżywszym nakazem chwili i to dość długiej chwili, bo lat dwadzieścia liczącej.

Ale czy przeróbka systemu podatkowego wystarczy dla urbanizacji?

Nie.

Jest to warunek konieczny, ale nie wystarczający. Jest to jednak warunek ze względów oportunistycznych wstydliwie przemilczany przez większość publicystów. Minęły widać czasy Zoli, czy Świętochowskiego.

Poza tem nie załatwiona jest sprawa szkolenia rzemieślników, której się nie załatwi bez walki z beati possidentes. Są sprawy uzbrojenia terenów pod urbanizację w siłę, wodę etc., oraz przygotowania pod osiedla mieszkalne. Jest też bardzo ważna sprawa stosunku nowego drobnego przemysłu do ordynatów na kontyngentach.

Przemysł, w ramach swych dzisiejszych placówek, ma interes w zachowaniu jak najsilniejszego parcia na rynek pracy od strony bezrobotnych. Takie parcie równoważy mu z nawiązką straty, przysparzane przez polskie ustawodawstwo społeczne. Taniej jest płacić ubezpieczalnię i mieć wielomilionowy rezerwuar sił roboczych, mało wydajnych i tanich, niż nie płacić urlopów etc, a zato wyższe stawki. Stanowisko to jest wynikiem kalkulacji (może błędnej), nie zaś jakiegoś demonizmu antyhumanitarnego.

Kalkulacja taka bywa często podświadoma. Toteż powstawanie COP-u musi wywoływać bodaj odruchowe sprzeciwy u ludzi, których obowiązkiem jest obrona interesów innych okręgów. Nie ma więc winy pana A, czy B, jeśli mówi: „COP Copem, ale nie zapominajcie o potrzebach Łodzi, czy Bielska". Inna rzecz, jak dalece czynnik nadrzędny powinien, nie obrażając się, przejmować się takim oświadczeniem.

Albowiem państwo, jako czynnik nadrzędny, obowiązuje kalkulacja inna. Tu w rachubę wchodzi zwyrodnienie fizyczne i moralne milionów obywateli.

Nie twierdzę, że opieka społeczna, to zwyrodnienie powoduje. Ale petryfikacja obecnego stanu rzeczy, przy braku elastyczności w stosowaniu obciążeń do nowopowstałych zakładów, utrudnia powstawanie nowych źródeł zarobkowych, a te nowe źródła zarobkowe są najpewniejszą przesłanką kapitalizacji i wzrostu zatrudnienia.

Petryfikacja ta przynosi, mimo niedostatecznej opieki społecznej, więcej szkody, niż ożywienie i postęp gospodarczy, nawet kosztem zreorganizowania opieki i zmiany form jej podstaw finansowych.

Wspomniana kapitalizacja wewnętrzna drobnych ludzi może się stać podstawą rozbudowy warsztatów, tylko o ile inwestor może spokojnie patrzeć w przyszłość. I tu znów wracamy do grupy przesłanek prawno podatkowych. Ustawy pisane dla prostaków, nie dla talmudystów. Może stracą na tem komentatorzy, ale znakomita większość ludności, tylko zyskać może na jasności i prostocie ustaw.

Powtarzam jeszcze raz: potrzebne jest uproszczenie ustaw, nie zaś wyjątkowe ulgi dla nowopowstałych przedsiębiorstw. Każda dyskryminacja in plus

jest ipso facto dyksryminacją in minus dla innych. Popieranie zaś nowych z istotnym uszczerbkiem dawnych przedsiębiorstw, jest polityką „Tryszkina Kaftana", a więc niecelową.

Sprawa urbanizacji rozwiązuje szereg dalszych kłopotów. Przede wszystkim stwarza podstawy rozwiązania sprawy agrarnej. Powtóre łagodzi, acz nie rozwiązuje, sprawę żydowską. Po trzecie: urbanizacja zręcznie prowadzona może osłabić groźbę sprawy mniejszości niemieckiej. Największej uwagi wymaga związek urbanizacji z zagadnieniem ukraińskim. Dzika urbanizacja przy ukrainizacji miast południowo - wschodnich, to wstęp do utraty tych ziem przez Polskę.

Rozrost miast, to rozwiązanie zagadnienia zbytu węgla i żelaza, to możliwość wprowadzenia w tych artykułach wolnej konkurencji.

Rozrost miast, to stworzenie kadr technicznie wyszkolonego materiału ludzkiego, który dla liczniejszych celów będzie mógł być owocnie zmobilizowany, aniżeli półbezrobotny wiejski.

Rozrost miast, to wzrost bogactw materialnych w obiegu — to wzrost stopy życiowej całej ludności kraju.

Rozrost miast — to gruźlica i szereg innych chorób. — Tak. Ale czyż w wyższym stopniu, niż na przeludnionej i niedokarmionej wsi?

Droga prowadząca do urbanizacji, droga zmiany obowiązującej koncepcji prawnej, nie jest nowa.

Zniszczony przez dewastacyjną politykę Persów oraz wojny Aleksandra, Egipt dawał mniejsze zbiory, aniżeli Lagidzi się spodziewali. Toteż Ptolomeus Philadelphus sprzedaje ziemię żyzną, lecz zapuszczoną w prywatne ręce, na własność. Na taką własność prywatną, jaką znała wówczas Grecja, Azja mniejsza, Mezopotamia, ale jakiej nie znał Egipt, przyzwyczajony do ziemi państwowej, lub kościelnej. Środek ten okazał się tak skutecznym, że w trzysta lat bezmała po Philadelphusie, Oktawian August konfiskuje dobra martwej ręki i sprzedaje na własność prywatną; ale znów tylko te ziemie, które są zapuszczone. Ziemie dobrze uprawne, pozostały własnością korony.

Rozwój życia gospodarczego monarchii lipcowej oparty był na skasowaniu przywilejów ancien régime'u.

I u nas koncepcja zmian stanu prawnego, była stosowana w ustawie cynkowej, w ulgach COPowych itp. Tylko, że była stosowana w formie wyjątków — nie w formie zerwania z gospodarczo niekorzystną koncepcją prawną. To też twórcy ulg COPowych przypominają mi Oscara Wilde'a. Ale nie Oscara Wilde'a estetę. Bynajmniej. Przypominają więźnia z Reading, który widząc przez okno swej celi gałąź osypaną pąkami, pisze w „De Profundis": „Ja wiem, co ona cierpi: ona poszukuje wyrazu".

Twórcy koncepcji COP-u „poszukują wyrazu". Szukają sposobu, jak Mickiewicz, który u Boga przyszedł go dociec. Chcą stworzyć nową całość gospodarczą, a jednak nie chcą zerwać z dawnymi grzechami.

Dlatego wiszą, jak stary szlachcic Twardowski, pomiędzy niebem przyszłego dobrobytu, a ziemią dnia dzisiejszego. Na tę ziemię wrócić! Stworzyć ramy prawne dla dobrobytu ludzi prostych! Tylko człowiek prosty jest dość potężny, aby wydźwignąć Polskę na swoich barkach.

Lekceważona i odkładana reforma podatkowa nasuwa przypuszczenie, że art. 286 K. K. jest w letargu. Albo, co gorzej, że powołani do tej reformy, nie rozumieją jej.

Rolą nas, publicystów, jest dopomódz w znalezieniu wyrazu budowniczym państwa. Naszą rolą jest proponować, wysuwać koncepcje, zwalczać je, przesiewać i uwypuklać te, które dają najlepszy sposób zaspokojenia potrzeb.

Poruszyłem więc piekło i niebo, dobrobyt materialny i nędzę moralną, rzeczy publiczne i osobiste. Sprawy duże i sprawy małe.

Niech czytelnik wybiera.

U W A G I

ODCIĄŻENIE WSI NA ODCINKU UBEZPIECZEŃ

Przed trzema laty rozpoczęto na wielką skalę akcję odciążenia rolnictwa i podniesienia jego rentowności w drodze z jednej strony zwiększenia dochodów gospodarstw rolnych i z drugiej strony obniżenia wydatków i świadczeń publicznych. Wysiłki te, zwłaszcza w obliczu aktualnych cen za płody rolne, czynione są w dalszym ciągu. Wskazane jest przy tej okazji podsumować rozmiary dotychczas dokonanych prac i w pewnej mierze ocenić ich rezultaty.

Rozważania nasze ograniczymy do kwestii zmniejszenia strony wydatkowej rachunku kalkulacyjnego gospodarstw rolnych, wyodrębniając przy tem jako zagadnienie specjalne — spadek świadczeń rolnictwa na rzecz ubezpieczeń.

Wśród szeregu publicznych obciążeń wsi składki ubezpieczeniowe z tytułu przymusowych ubezpieczeń budowli od ognia zajmują jedno z dalszych miejsc. Ilustrują to dane cyfrowe zawarte w Memoriale Związku Izb i Organizacyj Rolniczych R. P., ogłoszone w Nr. 21 „Rolnika Ekonomisty" z dnia 1 listopada 1935 r., dotyczące okresu 1932/33. Według tych danych sumy świadczeń publicznych wsi były następujące:

	w miln. zł
1. państwowe podatki bezpośrednie	80
2. państwowe podatki pośrednie	139
3. przerzucona na rolnictwo część podatku obrotowego	27
4. komunalne podatki bezpośrednie	91
5. podatek na rzecz Izb Rolniczych	3
6. ubezpieczenia społeczne	15
7. przymusowe ubezpieczenie od ognia	40
razem	439

W ogólnej zatem sumie świadczeń publicznych opłaty za ubezpieczenie od ognia budynków wiejskich nieznacznie przekraczają 9%. Ta pozycja wydatkowa jednak w ramach akcji Rządu pomocy dla wsi uległa również wydatnemu zmniejszeniu. Warto przy tej okazji zaznaczyć, że na początku roku 1936 zmniejszenie obciążenia rolnictwa z tytułu składek ogniowych było w porównaniu z okresem wysokiej koniunktury (rok 1929) już bardzo silne, tak iż wydatki na ubezpieczenie zmalały nawet poniżej 50% swej pierwotnej wysokości. Według danych Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, prowadzącego przymusowe ubezpieczenie od ognia na terenie prawie całej Polski, składka na 1 nieruchomość wiejską wynosiła:

w roku	1929	18,3 zł
„	1936	8,0 zł
„	1938	6,8 zł

Obecnie gospodarstwo wiejskie płaci więc przeciętnie poniżej 40% wysokości składki ogniowej z roku 1929.

Jeśli chodzi o obciążenie wsi opłatami na ubezpieczenie w porównaniu z podatkami bezpośrednimi, to według wspomnianego memoriału w r. 1932/33 składki ubezpieczeniowe stanowiły połowę podatków bezpośrednich. Stosunek ten uległ jednak z biegiem czasu dalszym poważnym zmianom. Jak wynika bowiem z badań Wydziału Ekonomiki Rolnej Drobnych Gospodarstw Wiejskich w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego (za rok 1934) w przeciętnym obciążeniu na 1 ha ziemi użytkowej stanowiły [1]):

ubezpieczenia	1.68 zł
podatki bezpośrednie	8,14 zł

czyli ubezpieczenia nieco przekraczały 20% świadczeń rolnictwa z tytułu podatków bezpośrednich. Obecnie po udzieleniu dalszych ulg w opłacie składki na wsi w postaci bonifikaty obciążenia z tytułu ubezpieczeń spadły poniżej 17% wiejskich państwowych podatków bezpośrednich.

* * *

Wyniki powyższe nie są jednak prawdziwym odzwierciadleniem tego, czem istotnie jest obciążona wieś i nie dają one obrazu faktycznego „bilansu płatniczego" wsi na odcinku ubezpieczeń. Bilans ten będzie celowo sporządzić z uwzględnieniem ulg udzielonych wsi na przestrzeni ostatnich lat, poczynając od roku 1936, w ramach ogólnego planu pomocy Rządu dla rolnictwa.

Ulgi te wyraziły się przede wszystkim w postaci bonifikaty składek za przymusowe ubezpieczenie budowli od ognia, udzielonej rolnikom przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, w wysokości 20% dla Kresów Wschodnich oraz 15% dla województw centralnych i południowych.

W okresie trzech lat t. j. 1936—7—8 przypis składek za ubezpieczenie budowli od ognia w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych wyniósł (w miln. złotych):

Rok	Przypis składek ogółem	W tem wsie i osady
1936	39.4	31,3
1937	40,1	31,7
1938	43,3	33,3
Razem	122.8	96,3

Z przypisanych i należnych składek ogniowych faktycznie wpływa na wsi około 90%. W praktyce oznacza to, że ca 10% niezamożnych rolników korzysta z ochrony ubezpieczeniowej bez żadnych opłat,

[1]) Wg. opracowania W-łu Stat.-Ekon. PZUW.

dzięki czemu w wypadku klęski ognia są w stanie odbudować swe warsztaty rolne i nie są ciężarem dla państwa, samorządu lub opieki społecznej. W bilansie naszym należy jednak uwzględnić, że z przypisanych 96,3 milionów złotych składki ogniowej na wsi nie wpływa około 9,6 miln. zł.

Udzielona przez PZUW bonifikata składek rolniczych w wysokości 20% i 15% spowodowała również zatrzymanie na wsi poważnych sum, które mogły być użyte na inne cele. W omawianym trzechleciu kwoty te były następujące:

W milionach zł:

Rok	Suma udzielonych bonifikat
1936	4,4
1937	4,5
1938	5,0
Razem	13,9

Ponieważ bonifikata składek rolnych ma być przedłużona przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w dalszym ciągu na rok 1939 w dotychczasowej wysokości, przeto pomoc finansowa udzielona w tej formie rolnictwu sięgnie łącznie sumy 19 milionów zł.

Podkreślić wreszcie wypada, że zachodzi zasadnicza różnica między ciężarami ponoszonymi z tytułu podatków i z tytułu ubezpieczeń. Przy rozpatrywaniu interesów rolnictwa jako całości należy uwzględnić tę okoliczność, że w dziedzinie ubezpieczeń wraca natychmiast na wieś, w tym samym okresie jednego roku, większa część świadczeń rolnictwa w postaci odszkodowań wypłacanych poszczególnym rolnikom, dotkniętym klęską pożaru. Kwoty te, wracając napowrót do rąk wsi, mogą być zatem uważane jako wpływające na zmniejszenie obciążenia rolnictwa jako całości. Ubezpieczenie odgrywa tu bowiem rolę chwilowej zbiornicy funduszów rolniczych na przestrzeni danego roku, bezpośrednio rozprowadzanych następnie w terenie. Odnośne kwoty wypłaconych mieszkańcom wsi i osad odszkodowań pogorzelowych, według danych PZUW, były następujące:

W milionach zł:

Rok	Suma odszkodowań
1936	18,3
1937	18,0
1938[1])	17,0
Razem	53,3

Zbierając obecnie do ostatecznego podsumowania omówione wyżej dane cyfrowe, otrzymujemy:

W milionach zł:

Składki przypisane we wsiach i osadach	Składki nieściąg.	Bonifikata składek	Wypłacone odszkodow.	Netto obciążenie wsi
	9,6	13,9	53,3	
	Razem			
96,3	76,8			19,5

W ciągu trzech lat t. j. w okresie 1936—7—8 obciążenie rolnictwa, po uwzględnieniu udzielonych ulg, wyniosło netto 19,5 milionów zł, czyli przeciętnie na jeden rok wypada kwota 6,5 milionów zł.

Kwota ta nie stanowi bynajmniej już ostatecznego odpływu środków finansowych ze wsi. Nie uwzględniono tu bowiem jeszcze takich dodatkowych świadczeń na rzecz osad rolnych, jak zasiłki wypłacane przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w wypadku szkód elementarnych, jak powódź, huragan czy grad, następnie zasiłków przy komasacji gruntów na przenoszenie budynków lub ich przebudowę, wreszcie znacznych wydatków na obronę przeciwpożarową, na organizację wiejskich straży pożarnych, na zaopatrzenie wsi w zbiorniki wodne, na budownictwo ogniotrwałe, racjonalną i planową zabudowę wsi itd.

Jeśli tę zmniejszoną sumę porównamy z cyfrą blisko 400 milionów zł obciążeń z tytułu innych świadczeń publicznych, podawaną przez cytowany memoriał, a która ze względu na sztywność tych obciążeń nie uległa od roku 1932/33 tak dużemu obniżeniu, to wówczas ocenić można ciężar ubezpieczeń ogniowych rolnictwa jako jeden z najmniej uciążliwych.

* * *

Z powyższych rozważań nasuwają się dwa wnioski: jeden z nich dotyczy roli ubezpieczeń publicznych w życiu gospodarczym, drugi zaś wskazuje na konieczność rozbudowy ubezpieczeń rolniczych. W chwili, gdy polityka gospodarcza Rządu poszła po linii odciążenia wsi, nie brakło wśród realizatorów tej polityki zakładu ubezpieczeń publicznych. Zakład prawno-publiczny wystąpił tu więc natychmiast jako przedłużenie ramienia polityki gospodarczej państwa i jako jedno z jej narzędzi. Fakt ten dowiódł, że zakłady prawno - publiczne są szybkim i realnym środkiem, mogącym wykonać określone zadania na rynku ubezpieczeniowym i mogącym skutecznie wpływać na regulację tego rynku.

Potrzeba rozbudowy taniej i powszechnej ochrony ubezpieczeniowej zwłaszcza drobnego rolnictwa odczuwana jest przez wieś i wyrażające jej opinię organizacje rolnicze. Warsztat rolny powinien być zabezpieczony przed zniszczeniem z tytułu wszelkich klęsk elementarnych, jak ogień, huragan, powódź grad, i to zarówno w zakresie nieruchomości, jak też narzędzi rolniczych i ruchomości oraz plonów ze-

[1]) Cyfra przypuszczalna.

branych i nie zebranych. Jedynie skuteczna ochrona przed temi klęskami gospodarstw rolnych zdoła utrzymać ich żywotność, zapewnić ciągłość produkcji oraz zachować ich zdolności płatnicze i osiągnięty stopień rozwoju.

k. s.

STAWKA NA ZŁOTÓWKĘ

Okoliczności złożyły się tak, że sprawa programu naszej gospodarki miejskiej została zaktualizowana. Nie ulega wątpliwości, że przeciętny mieszkaniec stolicy, „człowiek ulicy" zaczyna innymi oczyma patrzeć na sprawę swego miasta, które do niedawna jeszcze były mu doskonale obojętne. Zarówno oczywiste i codziennie dostrzegane fakty (usprawnienie komunikacji, nowe ulice, zapoczątkowanie urbanistycznego urządzenia miasta, ogólna poprawa wyglądu najwidoczniejszych fragmentów stolicy), jak i systematyczna, sugestywna propaganda (ostatnio wystawa w Muzeum Narodowym) podtrzymują optymizm z duszy, skądinąd pełnego trosk i niepokojów, obywatela.

Optymizm ten jest warunkiem niezbędnym dla wszelkiej szeroko i dalekosiężnie pomyślanej akcji unowocześniania stolicy, przystosowywania jej do tych zadań, jakie ciążą na niej wobec kraju. Nie znaczy to jednak, by same rozmiary wykonywanych robót, imponujących swym rozmachem i włączonych w ogólny plan zagospodarowania kraju, nie narzucały poprostu konieczności nie tracenia z pola widzenia pewnych zagadnień o znaczeniu jak najbardziej zasadniczym.

Korzyści, jakie wynikają z ożywienia ruchu inwestycyjnego w mieście, oceniać można z najrozmaitszych punktów widzenia. Jedna cieszyć będzie przedsiębiorcę budowlanego, druga członka związku hotelarzy, trzecia bezrobotnego zatrudnionego na robotach publicznych, a jeszcze inna spacerowicza niedzielnego. Dla przeciętnego mieszkańca miasta jest wszakże jasne, że podstawowym celem gospodarki miejskiej, którą on finansuje swym wkładem podatkowym, jest zapewnienie mieszkańcom możliwie wygodnych warunków życia codziennego. I pogląd ten jest, oczywiście, słuszny.

Odsłanianie naturalnego wdzięku stolicy, przyozdabianie jej, tworzenie nowych urbanistycznie się tłomaczących akcentów architektonicznych, nie jest bynajmniej luksusem; zdaje się, że stopniowo pokonywujemy w sobie kompleks dziadostwa. Ale właśnie dlatego, że go potrochu przezwyciężamy, obywatel ma prawo upominać się, aby w procesie wypracowywania planów urządzenia jego miasta nie zapomniano także o jego osobie.

A tymczasem obcokrajowiec, po zwiedzeniu wystawy „Warszawa, wczoraj, dziś i jutro", wyjdzie ze wspomnianego gmachu Muzeum Narodowego w przekonaniu, że Warszawa jest jedyną stolicą w Europie, która zlikwidowała problem mieszkaniowy jako taki, bowiem sprawa przeludnienia mieszkań w dzielnicach robotniczych u nas już nie istnieje, jak również nie istnieje klęska slumsów - ruder, trapiąca wszystkie wielkie miasta świata.

Mniejsza zresztą o pełnego zdumienia obcokrajowca. Warszawiak nie jest taki łatwowierny, kilka razy obejdzie wszystkie sale, ale też niczego się nie dowie. O warszawiaku zapomniano.

Problem kryzysu mieszkaniowego, nękającego uboższą większość mieszkańców stolicy, wypadł z pola widzenia organizatorów wystawy. Nie o to chodzi, że nie pokazano drastycznych eksponatów, przedstawiających przeludnienie izby robotniczej, lub fatalne braki w jej ekwipunku sanitarnym. Chodzi o to, że w planie rozbudowy stolicy i podciągnięcia jej do poziomu europejskiego, zagadnienie budownictwa brakujących mieszkań społecznie niezbędnych w ogóle nie istnieje.

Bo przecież sprawa popierania ruchu budowlanego w ogóle, a sprawa likwidacji kryzysu mieszkaniowego warstw słabszych ekonomicznie — są to w naszych warunkach, przy naszym poziomie płac pracowników najemnych, dwa różne zagadnienia. Dowiedzieliśmy się, że jedna magistracka złotówka, zainwestowana w ulepszonej nawierzchni nowej ulicy, w jej uzbrojeniu, w nowym torowisku tramwajowym itp. mobilizuje gospodarczo dziewięć złotówek prywatnych, lokowanych w budownictwo wzdłuż nowych magistrali. I to jest oczywiście informacja cenna i pocieszająca. Tylko że my wiemy również (ale to już na zasadzie własnych spostrzeżeń), że niezamożni mieszkańcy przeludnionych mieszkań nie przenoszą się ani na Górny Mokotów, ani na Saską Kępę, ani nawet (tak!) na ul. Grochowską. Nie stać ich na to i to jest właśnie problem kryzysu mieszkaniowego.

Magistracką złotówką można zwabić do ruchu budowlanego dziewięć prywatnych, ale któż zmusi poszukiwacza przeciętnie rentownej lokaty do budownictwa, które choć jest społecznie niezbędne, normalnego oprocentowania nie da i dać nie może.

Kto na tę złotówkę stawia, ten spodziewa się cudu. I to, oczywiście, zwalnia go od obowiązku szukania środków zaradczych o mocy odpowiadającej natężeniu klęski. Stąd luka, niepokojąca i zasadnicza, w projektach urządzenia miasta. A gdyby ta kapitalna luka nie została wypełniona, to, trudno i darmo, ale Warszawa przyszłości będzie nie zupełnie taką, jakiej zarysy wyłaniają się z pięknych plansz wystawowych. Bo nie podobna przebudowywać Warszawy bez stopniowego, planowego burzenia dzielnic zabudowanych ruderami i bez dostarczenia mieszkańcom tych ruder nowoczesnych mieszkań zastępczych. Jest to sprawa daleka, problem ruder jest jeszcze w stanie surowym, ale przecież zademonstrowane nam plany śmiało sięgają o kilkadziesiąt lat w przyszłość i to, co chcą budować, ma przetrwać wieki.

Nie można z lekkim sercem pogodzić się z oświadczeniem, że nie stać gminy wielkomiejskiej na przedsięwzięcie konsekwentnej akcji przeciwko podstawowej klęsce ludności stolicy i że sprawa cała pozostać musi w dalszym ciągu na łasce i niełasce prywatnego kapitału. Wystarczy przez chwilę zastanowić się nad obiektywnym sensem tej ponurej tezy, by zrozumieć, że oznacza ona stwierdzenie swej komplet-

nej bezsilności w zakresie podstawowych zadań samorządu, a zatem podpisanie w oczach mas wyroku na instytucję gminy w ogóle.

Gmina jednak nie jest bezsilna; intensywna polityka podatkowa, przy odzyskaniu utraconych w swoim czasie źródeł dochodów, wysokie opodatkowanie przetrzymywanych spekulacyjnie terenów niezabudowanych, skup ich po cenie zadeklarowanej przez właścicieli przy wymiarze podatków, postępowy podatek od czynszów za wielkie, niedostatecznie zaludnione mieszkania warstw zamożnych, podatek od przyrostu wartości terenów uzbrojonych — to tylko kilka środków, przy zastosowaniu zespołu których mogłaby gmina zapewnić sobie w oparciu o pomoc państwa [1]) fundusze, niezbędne do ruszenia z martwego punktu społecznej akcji budowlanej.

Że to wywoła srogie lamenty i gwałt ze strony zawsze ofiarnych zrzeszeń posiadaczy nieruchomości — to pewne. Na to jednak nie ma rady. Kto się nie zdecyduje na te konsekwencje „rewolucji warszawskiej", niech się z góry liczą z tem, że nowe zapowiadane wspaniałości urbanistyczne akcentować będą nic innego, jak właśnie zastarzałą ohydę ubóstwa.

b. ż.

NOTATKI

ZAMKNIĘCIE DYSKUSJI

Zmuszony jestem znów skorzystać z gościnności Redakcji w sprawie, która jest wynikiem dość powierzchownego nieporozumienia. Podkreślam wyraźnie, że mam tu na myśli sprawę oprocentowania funduszu amortyzacyjnego, a nie w ogóle zagadnienie amortyzacji, jak to sugeruje p. Henryk Goldstern w artykule „Jeszcze w sprawie amortyzacji" (Nr 20 „Gospodarki Narodowej"). Wagę samego zagadnienia amortyzacji podkreślałem, pisząc, że związane jest ono z istotnym i trudnym problemem wyboru założeń najlepiej odpowiadających rzeczywistości i że temat ten wykracza poza ramy moich uwag.

W uwagach zamieszczonych w Nr 17 — 18 „Gospodarki Narodowej" wykazałem, że osiągnięte przez p. Henryka Greniewskiego różne wyniki przy stosowaniu zwykłej metody amortyzacji i metody amortyzacji „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego" były rezultatem przyjęcia różnych i *sprzecznych* założeń. Obecnie p. Goldstern znów dochodzi do lepszych wyników gospodarowania przy stosowaniu amortyzacji „z oprocentowaniem". Tym razem rezultat ten zostaje osiągnięty nie dzięki sprzecznym założeniom, lecz za pomocą tego, że imputuje się stosującym zwykłą metodę amortyzacji odkładanie rat amortyzacyjnych do... szuflady. Kto i kiedy rezygnował z dochodów funduszu amortyzacyjnego i odkładał go do szuflady nawet przy zwykłej metodzie amortyzacji? Przed tego rodzaju nieporozumieniem ostrzegałem wyraźnie w poprzednim artykule, pisząc: *„Stwierdzam, że w rozważanych zwykle wypadkach fundusz amortyzacyjny zawsze procentuje, również przy zwykłej metodzie amortyzacji. Jednakże przy tej ostatniej metodzie oprocentowanie funduszu amortyzacyjnego nie zasila tego funduszu, lecz zostaje zużyte na inne cele. Nieporozumienie wynika zatem stąd, że się przeciwstawia zwykłej amortyzacji amortyzację „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego", jak gdyby zwykła amortyzacja pociągała za sobą konieczność rezygnacji z oprocentowania funduszu amortyzacyjnego"*.

Przy zwykłej metodzie amortyzacji „dochód netto" jest dochodem od nie zamortyzowanej jeszcze części inwestycji, malejącej z roku na rok. Jeżeli w rozważanym przykładzie liczbowym do tego dochodu netto dodamy dochód funduszu amortyzacyjnego, który nie może być odłożony do szuflady, otrzymamy sumę równą „dochodowi netto" przy amortyzacji" z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego". I tę sprawę wyjaśniłem w poprzednim moim artykule, podkreślając, *„że uzyskana metoda amortyzacji „z oprocentowaniem" rentowności jest właściwie nie rentownością samego urządzenia inwestycyjnego, lecz średnią rentownością układu, składającego się z tego urządzenia i z funduszu amortyzacyjnego"*.

Błąd popełniony przez p. Goldsterna potwierdza słuszność ostrzeżenia zawartego w poprzednim moim artykule przed niebezpieczeństwem związanym ze stosowaniem metody amortyzacji „z oprocentowaniem funduszu amortyzacyjnego". Metoda ta, w której jak lojalnie podkreślałem można doszukać się pewnych zalet czysto rachunkowych, użyta jako przeciwstawienie zwykłej metody amortyzacji, zaciemnia rzeczywisty stan rzeczy.

Mieczysław Presburger.

ORDYNUS

Uwaga nasza umieszczona w poprzednim numerze „Gospodarki" p. t. „Niewinne uproszczenie" została zaszczycona w numerze „Czasu" z dn. 15 listopada ostrą napaścią. To bardzo dobrze. Widać trafiliśmy w sedno rzeczy. W napaści umieszczonej w „Czasie" z dn. 15 listopada odczytać można skargę na redakcję „Gospodarki", że zawód i stanowisko p. Stefana Zawadzkiego jest przez redakcję „Gospodarki" utrzymywane w tajemnicy. Wszystkie redakcje mają chyba takie uprawnienie. I czy przynajmniej Stefan Zawadzki napisał bezpośrednio jedno słówko pod adresem autora z „Czasu"? Nie. To wszystko jedynie z powodu jego odpowiedzi na pytanie: „Czy (prasa obszarnicza) bije na alarm, że oto pojawiają się głosy zmierzające do obciążenia opłatami przemiałowemi, wprowadzonemi na korzyść wsi, najszerszych mas rolniczych, czy wykazuje całą

[1]) Trudno uwierzyć, aby kilka gmin miejskich w ośrodkach o pierwszorzędnym znaczeniu ogólno-państwowym i doskonale zapowiadającej się przyszłości odmówiło podobno przyjęcia proponowanych im pożyczek budowlanych z P. F. B. Za dużo kłopotu.

potworność podobnego pomysłu?" — „Bynajmniej". Nie wiedzieliśmy, że ambicje „Czasu" idą tak daleko, że między prasą obszarniczą i „Czasem" należy postawić znak równości. Ale niech i tak będzie. Może kiedy przypomnimy sobie o tem. Teraz chodzi o bądź co bądź nieprzyjemny pod naszym adresem zarzut, że „Czas" oburzał się na „potworność podobnego pomysłu", a myśmy, pisząc na ten temat, na „Czas" się nie powołali. A przecież było by to nam na rękę. Gaffa publicystyczna! Zwłaszcza, że „Czas" pisał niejednokrotnie, w Nr z dn. 12, 13, 14 i 15 października w uwagach „pogiełdowych". Czy jednak naprawdę pisał?

W wspomnianych uwagach z wymienionych dni można wprawdzie znaleźć bardzo demagogiczne argumenty (tłem wszystkich rozważań jest zresztą krzyk o wyższe premie!), że młynarze w tym roku więcej zarabiają, niż w roku ubiegłym, słuszne stwierdzenia, że nieprawdą jest, aby opłaty przemiałowe były przyczyną obecnych niskich cen żyta, ciętą polemikę z sugestiami tez młynarskich usianymi po całej prasie (nawet Prus-Wiśniewski w niewoli młynarskiej!), ostrą odprawę na żądania młynarskie, aby opłata była upowszechniona (bo jest to droga do zniesienia opłaty w ogóle i skąd będą pieniądze na premie?), ale nie sposób znaleść oburzenia autora na potworność samego pomysłu ściągania opłaty przemiałowej od mas chłopskich.

Trudno bowiem mówić chyba o oburzeniu autora, który deklaruje: „gdyby cena żyta była 20 zł, jak ją obiecywano, no to może rolnik (wiemy jaki — przyp. nasz) zgodziłby się na zapłacenie od każdego korca przemielonego na swój użytek 50 gr., ale mając tylko 14 zł, jak można mu proponować jeszcze nowe obciążenie na tym właśnie nieszczęśliwym życie"; albo wyżej: „Gdyby rozporządzenie (o upowszechnieniu opłaty) się ukazało, to powstałoby oburzenie w szerokich masach rolników". Z pewnością by powstało, czemu już dziś nie ma go jednak w prasie obszarniczej? A tymczasem poza przytoczonymi zdaniami — w Nr „Czasu" z dn. 12, 13, 14 i 15 października nie odnajdujemy oburzenia na potworność pomysłu rozciągnięcia opłat przemiałowych na masy chłopskie.

I dlatego pewnie nasza uwaga p. t. „Niewinne uproszczenie" wywołała aż tyle oburzenia, że z powodu niej nałożono karę na urzędników Ministerstwa Rolnictwa piszących w Gospodarce Narodowej — (czemu nie na nas, jak się okazuje niewinnych?) w postaci żądania ze strony majestatu „Czasu" odpowiedzi: „czy droższe są im posady w Ministerstwie Rolnictwa, czy też to najważniejsze dziś zagadnienie gospodarcze (tzn. poziom cen żyta — przyp. nasz) i skutki, jakie to pociągnie dla całokształtu gospodarki kraju, jeżeli to dalej tak potrwa... czy warte to jest wystąpienia prasowego na łamach „Gospodarki Narodowej"?

Na tak postawione pytanie odpowiedź jest prosta (patrz tytuł).

Stefan Zawadzki.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.